Na prawach rękopisu

NA STRAŻY — 12

Dwunasty Biuletyn Wewnętrzny
Związku Pracy dla Państwa

18. VI. 1945
JEROZOLIMA

POWRÓT

W tym roku mija lat sześć od chwili, gdy Narodowi Polskiemu, zmagającemu się z podwójną wrażą przemocą wytrącono broń z ręki. Mija sześć lat od chwili, gdy Niemcy i ZSRR z równą zaciekłością i z równą nienawiścią do wszystkiego, co polskie — tylko palmę pierwszeństwa w zdradzie i podstępie zawojował bezsprzecznie ZSRR — jęli się złowieszczej pracy nad wykreślaniem Narodu i Państwa Polskiego z mapy Europy i z mapy świata — „na zawsze“ — jak powiedział Mołotow.

Miliony Polaków wywieziono na wschód. Zaludniono nimi tysiące „odległych miejscowości ZSRR“ i tysiące łagrów. Tym milionom ze wschodnim sadyzmem i wschodnim chamstwem twierdzono — bo tak kazał Stalin i Mołotow: — Polski już nigdy nie będzie, tutaj zdechniesz!

Miliony Polaków wywieziono na zachód. Mordowano ich tam tymi samymi metodami, co na wschodzie, w tym samym tempie i w takich samych obozach śmierci. Stalin i Hitler, Gestapo i NKWD podały sobie w tym dziele jakże „bratnie“ ręce.

Część Polaków, — tak przecież w stosunku do ilości wymordowanych nieliczna, — przedostała się zagranicę. Aby tam szukać broni. Chwyciwszy za karabin, czołg, samolot i pióro rozpoczęła swoją żmudną, powolną, znaczoną setkami, tysiącami grobów żołnierskich, walczących na wszystkich frontach — drogę do Polski. Przez wszystkie lądy i wszystkie morza świata — zawsze do Polski.

Bo bez tej Polski żyć nie potrafimy. Bo nie ma chyba narodu na świecie, któremu ziemia ojczysta jest tak do życia niezbędna, jak nam. Powietrze bez zapachu naszych pól i lasów, bez zapachu naszej ziemi — nie jest dla nas powietrzem. Bez życia na wolnej polskiej ziemi istnieje dla nas tylko jedno: droga do Polski.

Żaden chyba naród nie odczuwa tak żrącej dogłębnie tęsknoty, nie cierpi tak nad rozłąką, jak my. Żaden też naród tak ofiarnie nie przerąbuje sobie drogi w tym jednym, uparcie jedynym kierunku: do Polski.

Stwierdzamy to na każdym kroku nie słowami, ale sześcioletnią, jakże bezmiernymi ofiarami płaconą, nieustępliwą walką o polską Polskę.

A jeśli dziś, mimo to, mówimy, mimo to wszystko używamy słów, — to tylko dlatego, że znalazły się na emigracji szuje, które nagle teraz rozpoczęły „agitację“ za powrotem do Polski, starając się à contrario wmówić w świat, że my do Ojczyzny wracać nie chcemy. Nie chodzi tu o „patriotów.“ Ci płatni agenci mówią tak, jak muszą. Darmo pieniędzy się nie dostaje.

Chodzi o grupę spod znaku Mikołajczyk-Grabski. Właśnie oni, Polacy, wmawiają w świat, że wracać nie chcemy. Ohydniejszego plunięcia w Naród Polski, w Jego najbardziej święte uczucia nie potrafił się dopuścić żaden wróg. Wystarczy zaś przeczytać pierwszy lepszy numer „Jutra Polski“, aby się dowiedzieć, co czynią ci, którzy chyba już tylko z imienia są Polakami

Potępialiśmy tych, którzy w latach 1939-40 pragnęli zawrócić. Którzy nie bacząc na konieczność walki i tylko walki, łamali się i chcieli iść pod okupację niemiecką czy sowiecką — bo nie mogli bez Polski istnieć, a ulękli się tej długiej i krwawej drogi, którą trzeba było wybrać, aby iść do Polski pewnie i z honorem, a nie ginąć marnie i bezpożytecznie dla Narodu i Jego przyszłości — w niemieckich i sowieckich obozach śmierci. Potępialiśmy ich, bo to była kapitulacja przed wrogiem wschodnim czy zachodnim.

Witaliśmy z radością, tych, którzy całymi falami szli z Polski, by walczyć razem z nami o powrot. Każdy bowiem Polak, idący do nas, to jeden karabin więcej, jeden głos protestu więcej. To jeszcze jeden „kamień ręką Boga rzucany na szaniec“ naszego oporu, naszej walki aż do zwycięstwa. Każdy Polak, wybierający drogę walki to zwiększona szansa zwycięstwa.

Wojna w Europie pono skończona. Dla nas napewno nie. Jeden tylko wielki wróg leży powalony. Drugi rozpostarł nad naszą ziemią okupację o wiele bardziej złowrogą, o wiele bardziej zdradziecką.

Nie chcieliśmy iść pod okupację niemiecką, nie możemy poddać się okupacji sowieckiej.

W oparciu właśnie o niepożytą miłość Ojczyzny stworzyliśmy siłę nową. Siłę nie tylko liczoną ilością bagnetów, ale przede wszystkim siłę olbrzymiego protestu przed bezprawiem, siłę opartą o zdecydowanie prowadzenia walki aż do ostatka, siłę płynącą z najgłębszego przeświadczenia, z najgłębszej wiary, że tylko droga kroczenia z bronią w ręku jest właściwą drogą do, jak powiedzieliśmy, polskiej — nie sowieckiej czy niemieckiej — Polski.

I tego naszego skupienia w walce, tej wiary w pewność zwycięstwa naszego, tej siły stąd właśnie płynącej, wróg się boi. To w nas chce zabić. Dlatego woła: rzuć broń, wracaj do Polski, wracaj do ziemi, na której panuje nie powietrze wolności, a zabijający czad niewoli. Nie walcz więc, schyl głowę w jarzmo okupacji.

Właśnie okupacji, bo mimo, iż wojna z Niemcami się skończyła, Sowiety ani chcą, ani mają zamiar z ziemi polskiej ustąpić.

I fałszywy przyjaciel będzie nas również namawiał do powrotu. Bo chce, abyśmy sami na siebie wyrok zagłady podpisali, abyśmy zaprzestali walki

o wolność. Będzie namawał, bo wie, że gdyby on na nas ten wyrok podpisał, podpisałby tym samym ten wyrok i na siebie. Bo na przykład, rządy sojusznicze, które na podpisanie tego wyroku pójdą, które zgodzą się na to, aby naród europejski, świecący innym przykładem umiłowania tego, co jest najwyższym wyrazem kultury Zachodu — umiłowania wolności — aby ten naród poszedł w azjatycką niewolę, — stanęły by przed swoimi narodami odarte ze wszystkiego. Stanęły by wobec pytania tych narodów: I w imię czego wpędzono nas w tę straszliwą wojnę?

Więc trzeba, abyśmy sami chcieli, abyśmy sami walki zaprzestali.

Narody, które poszły tą drogą, leżą dziś pod zatrzaśniętym wiekiem azjatyckiej trumny. O Rumunii, Bułgarii, i t.p. nikt nic nie mówi. Nad rozległymi terenami wczoraj wolnych narodów rozpostarła się głucha, złowroga cisza niewoli.

Niech więc nikt nie namawia nas do wybrania takiego postępowania.

Dopóki mamy jeszcze ładunki w ładownicach, dopóki nam pióro z ręki nie wypadło, dopóki ostatniemu Polakowi głos w krtani nie zamarł, dopóty będziemy szli do polskiej — nie sowieckiej — POLSKI drogą walki. Zapłaciliśmy za wolność tyle, że dziś nie czas już iść w niewolę. Gdyby Polak umiał iść w niewolę, poszedłby w roku 1939, 1940. Dziś uczyć tego nie wolno. Dziś „realizm biologicznego zachowania substancji narodu" jest zwykłą zdradą. Bo zdradą jest wyparcie się już nie tradycji przodków, ale tych setek, tysięcy i milionów grobów naszych ojców, matek, żon, sióstr, braci, synów i córek, wszystkich, którzy zginęli na naszych oczach i którzy giną na naszych oczach z rąk siepaczy NKWD i ich sługusów, — właśnie za wolność a nie za sowiecką niewolę.

I jeśli Mikołajczyk, Grabski i inni podobni chcą wracać już teraz, jeśli w ten sposób chcą wyłamać się ze zwartego frontu walki — to nie stawiamy żadnych przeszkód. Tylko atmosfera się oczyści, tylko świat przestanie być oszukiwany, bo zobaczy jak takich jest mało, a jak nas jest wiele.

My z drogi jedynej, która jest drogą do Polski wolnej, całej i prawdziwie niepodległej, ani na krok nie zejdziemy.

Jest to bowiem j e d y n a d r o g a, którą do Polski w r a c a m y i wrócimy.

Idziem do Ciebie, Ziemio, Matko miła,
By upaść czołem na Twoje zaproże,
Nie jeno liczba my, ale i siła,
Nie jeno pług my, co łany Twe orze,
Ale i piorun, co go Bóg posyła...

A zdrajcy precz! Pod sowiecką okupację!

WÓDZ POLSKI PODZIEMNEJ — NACZELNYM WODZEM

Generał dywizji, Tadeusz Bor-Komorowski, mianowany Naczelnym Wodzem dnia 30 września 1944 r., wzięty do niewoli niemieckiej, a następnie z niej uwolniony przez armie sojusznicze, zameldował w dniu 28 maja r.b. Prezydentowi Rzeczypospolitej ponowne objęcie Naczelnego Dowództwa Armii Polskiej.

Czasy przeżywamy bardzo ciężkie. Wprawdzie wróg leży pokonany, ale, co gorsza, „sojusznik" naszych sojuszników ogarnął Polskę ponowną, więc tym cięższą, niż niemiecka, okupacją.

Wojna z Niemcami skończona, a „sojusznik" wyzwala nas z wolności, którą wraz z pokonaniem Niemiec mieliśmy odzyskać. I usiłuje w dodatku okłamać i nas tutaj i świat cały, że wszystko nagle dzieje się z dobrą wolą Narodu Polskiego, który uparcie walcząc przez lat przeszło pięć z usiłowaniem narzucenia Mu jednego jarzma, dziś chętnie wkłada głowę w jarzmo drugie.

Objęcie przez gen. Bora-Komorowskiego Naczelnego Dowództwa jest faktem, ze wszechmiar dodatnim nie tylko z wojskowego punktu widzenia. Ma ono również i inną wielką wymowę.

Generał Bor-Komorowski jest bodaj ostatnim z przywódców Kraju, którzy dotarli do nas. Przebywał w Kraju od samego początku wojny aż do pamiętnego dnia upadku Warszawy, we wrześniu r. ub. Jak nikt bodaj zna nastroje Kraju zarówno w stosunku do wroga niemieckiego, jak i do sowieckiego „sojusznika". Czym jest ten „sojusznik" naszych sojuszników, co nam gotował i gotuje dowodzi choćby ostatni rozkaz generała Bora do Armii Krajowej.

..„Kapitulacja stolicy nie świadczy, że zaprzestaliśmy walki z Niemcami. Polska... w walce nie ustanie. Żądania Moskwy gorsze są od złożenia broni w ręce jawnego wroga. Wolimy umrzeć, niż zgodzić się na nie. Rosjanie chcieli nas wywieźć i zniszczyć, podobnie do 10.000 ofiar Katynia."

Dziś sytuacja jest jeszcze jaśniejsza: kto za Polską prawdziwie wolną, prawdziwie niepodległą — ten przeciw Rosji. Tertium non datur.

*

Przeżywamy taki okres, w którym partie twierdzą, że one jedynie mają monopol na wypowiadanie opinii ogólnopolskiej. Tędy zresztą poszukuje naszej opinii i zagranica.

Powrót generała Bora witamy więc tym radośniej i tym serdeczniej, że on właśnie, jako jeden z głównych przywódców Polski, w walce nieustającej, — on, który do ostatniej niemal chwili żył w największym ogniu tej walki, — jest dla nas reprezentantem największej naszej *partii*, — bo reprezentantem *całego* naszego Kraju. Ci więc, którzy choćby przez tworzenie sztucznego zarzutu, że rząd polski w Londynie nie ma dostatecznego związku z Krajem, chcieliby pozycję tego rządu osłabić, dziś muszą umilknąć, albo też tylko kłamać dalej tak, jak kłamali dotychczas.

Generał Bor-Komorowski wraz z premierem Tomaszem Arciszewskim stanowią najprawdziwszą reprezentację i właściwe przywództwo największej naszej partii — *Kraju*. Przy Naczelnym Wodzu i Szefie Rządu stojących niezachwianie na stanowisku, zajętym w deklaracji rządowej z dnia 13 lutego r. b. — powinny odejść na plan drugi wszystkie partie i grupy polityczne. Oni obaj bowiem reprezentują naprawdę i w daleko większym stopniu *całość* — niż wszystkie inne — popierające rząd, czy też zwalczające go, a podle kapitulujące przed wrogiem — emigracyjne partyjki i grupki polityczne razem wzięte.

Bor-Komorowski na czele Armii Polskiej, Tomasz Arciszewski na czele Rządu Polskiego stanowią w tej chwili reprezentację najszerszej opinii

polskiej. Skupiające się więc przy nich grupy polityczne są przez to napewno najbliższe pojęcia zjednoczenia narodowego. To szczere skupienie najbardziej skutecznie może zapobiec waśniom partyjnym, bo szczere oddanie się pod ich kierownictwo najskuteczniej i najbezboleśniej, a w sposób najbardziej dla sprawy naszej pożądany zlikwiduje niezdrowe przerosty zapędów do rządzenia w imię tylko partykularnego interesu, idącego tak nieodłącznie ze szkodami dla państwa.

*

Mówiąc słowami ostatniego rozkazu Naczelnego Wodza — wiemy, że „zwycięstwo nad Niemcami nie przyniosło jeszcze naszej Ojczyźnie niepodległości i wolności... Droga do Polski wolnej, niepodległej i demokratycznej może być jeszcze daleka".

Ale, gdy wiemy to, tym więcej nie złomności w wytrwaniu nam trzeba. Tym więcej więc szczerze i otwar tym sercem witamy gen. Bora-Komorowskiego, powracającego na stanowisko Naczelnego Wodza.

Wraz z nim wierzymy głęboko, że sprawiedliwości dziejowej stanie się zadość. A czyż jest w świecie sprawa słuszniejsza, niż sprawa Polski?

Witamy go, jako ofiarną i czystą postać żołnierską,

Witamy go jako niezłomnego dowódcę — wczoraj Armii Krajowej — dziś całej Armii Polskiej, walczące o prawdziwą niepodległość naszej Ojczyzny.

Życzymy mu z całej duszy, by wielokrotnie pomnożone Wojsko Polskie doprowadził do Polski w sławie zwycięstw.

NASZE STANOWISKO

Zespół ideologiczny, reprezentowany na zewnątrz przez nasz Biuletyn, zajmował w stosunku do polityki rządu gen. Sikorskiego, a następnie i do polityki rządu Mikołajczyka stanowisko zdecydowanie krytyczne.

Uznając przez cały czas najbardziej stanowczo i niedwuznacznie legalność obu tych rządów, uważaliśmy ich skład i ich politykę zarówno zagraniczną, jak i wewnętrzną za zdecydowanie szkodliwą. Słusznie — dziś już każdy to musi przyznać — uważaliśmy głoszoną wówczas „jedność narodową" za fikcję, słusznie uważaliśmy, że desygnowanie na stanowiska ministrów ludzi przez zarządy partyjne urąga elementarnym potrzebom chwili, słusznie protestowaliśmy przeciw łamaniu konstytucji przez wprowadzenie „paktów konwentów", przekreślających konstytucyjne prerogatywy Prezydenta, — i niewątpliwie słusznie protestowaliśmy przeciw złośliwym, nierozumnym wysiłkom zohydzania i obniżania w oczach świata całego dorobku Polski sprzed 1939 r. Słusznie dalej — protestowaliśmy przeciw demoralizowaniu uchodźców przez system donosicielstwa oraz obsadzanie ważnych stanowisk przez elementy najmniej wartościowe, a często przez wyraźne obce agentury, z wykluczeniem niemal wszystkiego, co reprezentowało zdrową myśl państwową, doświadczenie i wysoki poziom moralny: słusznie wreszcie uważaliśmy politykę zagraniczną obu tych rządów za politykę wysługiwania się obcym, politykę defetyzmu i kapitulanctwa nie stojącą w żadnym stosunku do wagi i znaczenia Polski i jej wkładu w obecną wojnę.

Byliśmy — trzeba to najmocniej podkreślić — *jedynym ugrupowaniem*, które konsekwentnie i uparcie głosiło hasła opierania się na duchu i literze naszej konstytucji, zawieszenia wszelkich walk partyjnych, jak najbardziej dla nas w warunkach wojennych szkodliwych oraz nieustępliwości w stosunku zarówno do naszych wrogów zachodnich i wschodnich, jak i w stosunku do naszych sprzymierzeńców, których tylko powolnym narzędziem być nie chcieliśmy.

Walczyliśmy zawsze o to, *aby Polska ostała się, jako podmiot w polityce i w stosunkach międzynarodowych*, i uważaliśmy, jakże, niestety, słusznie, że *rządy gen. Sikorskiego i Mikołajczyka* nierozumnie i własnymi rękoma *spychały ją do rzędu bezwolnego przedmiotu.*

Za to nasze stanowisko byliśmy, o dziwo, szykanowani na każdym kroku i przy każdej sposobności. Nie będziemy tu przytaczać metod, którymi nas zwalczano i nasz ostrzegawczy głos usiłowano stłumić. Metody te, stosowane przez Kota, Banaczyka i ich kreatury doczekają się w swoim czasie szczegółowej zapewne monografii ku nauce i przestrodze potomnych.

Myśmy je nie tylko przetrwali, ale równocześnie — bez żadnego werbunku z naszej strony — samorzutnie rozszerzyły się nasze szeregi.

Zyskaliśmy dla *myśli państwowej, przez nas reprezentowanej*, liczne rzesze uchodźtwa, które coraz lepiej zaczynało rozumieć, że Polska musi iść drogą, nakreśloną przez życie i prace Józefa Piłsudskiego i że całość polityki rządów na uchodźtwie jest jaskrawym tej drogi zaprzeczeniem.

Małość ludzi, których partie wysunęły na czoło rządu, błędy polityczne, widoczne już chyba dla wszystkich, wreszcie małoduszność i zdrada, które zalęgły się w centralnych organach rządowych, wykazały, jak na dłoni, że dotychczasowy stan rzeczy jest nie do zniesienia.

Upadł rząd Mikołajczyka pod ciężarem własnych przestępczych wprost błędów i pod presją opinii polskiej. Ster nawy państwowej i smutne dziedzictwo poprzedników objął stary weteran walki o Niepodległość — Tomasz Arciszewski.

Od czasu powstania rządu Arciszewskiego upłynęło kilka długich miesięcy, w ciągu których zaszedł szereg wypadków o pierwszorzędnym dla nas znaczeniu. Cała Polska znalazła się pod okupacją sowiecką, conajmniej równie wrogą, jak okupacja niemiecka. Eksterminacja Polaków trwa nadal metodami jeszcze bardziej barbarzyńskimi, niż uprzednio. Konferencja w Jałcie dokonała próby nowego rozbioru Polski, tym razem przy współdziałaniu naszych sojuszników. Na konferencji w San-Francisco fotel polski jest pusty. Niemcy zostały rozgromione, aby drugi nasz wróg tym bezczelniej gospodarował na polskich ziemiach.

Jak na te wszystkie wydarzenia reagował rząd Arciszewskiego?

Trzeba stwierdzić, że w tej niesłychanie trudnej sytuacji, trudniejszej, niż okoliczności, w jakich znajdowały się rządy gen. Sikorskiego i Mikołajczyka, T. Arciszewski znalazł wyrazy godności i odwagi, na które jego poprzednicy nigdy zdobyć się nie umieli. Po raz pierwszy od początku wojny z ust premiera polskiego w jego enuncjacji z dnia 13 lutego r. b. padły słowa godne Polaka.

Wbrew zdumiewającym umizgom w kierunku Rosji Sowieckiej i robieniu jej propagandy przez gen. Sikorskiego, wbrew „linii" Mikołajczyka, stanowiącej zamaskowaną jeszcze wówczas zgodę na linię Curzona, — Arciszewski odpowiedział na uchwały Jałty kategorycznym sprzeciwem, — odważnie przeciwstawiając się anglo-saskiej polityce dysponowania polską ziemią i polskim rządem.

Na twardym stanowisku trwa w dalszym ciągu, poparty i popierany przez wszystkich Polaków, z wyjątkiem kilkunastu tych, którzy przeszli do obozu zdrady narodowej.

Pewne — a napewno jeszcze nie wystarczające — zmiany personalne w aparacie państwowym świadczyły by, że są robione próby oczyszczenia administracji z elementów zdradzieckich lub skorumpowanych.

Spadek, otrzymany przez rząd Arciszewskiego po p. Mikołajczyku, był tak fatalny, a sytuacja polityczna tak trudna, że żadnych natychmiastowych rezultatów pracy obecnego rządu nikt rozsądny nie mógł oczekiwać. To, co

można było w istniejących warunkach zrobić, dotyczyć mogło niemal jedynie postawy naszej przez stwierdzenie, że na frymarczenie Polską i jej żywotnymi interesami rząd polski w żadnych okolicznościach zgodzić się nie może. To właśne zostało przez p. Arciszewskiego zrobione i napewno nie jest to mało. W zatęchłej, zgniłej atmosferze londyńskiej powiał nowy, świeży powiew. Polak mógł przestać się wstydzić za swój rząd.

*

Czy, oceniając w ten pozytywny sposób pracę p. Arciszewskiego, ustosunkowujemy się również pozytywnie do podstawy rekrutacyjnej i składu osobowego rządu? Czy uważamy, że w istniejących warunkach system desygnowania ministrów przez parę popierających rząd stronnictw, jest właściwy i czy ci desygnowani właśnie są mężami stanu, których rozum, zasługi, doświadczenie polityczne, charakter wysuwają na czoło polskiego życia? A przede wszystkim, co reprezentują w obecnych warunkach te stronnictwa?

Krótko mówiąc, trzy partie polityczne, jak wczoraj cztery a jutro może dwie lub pięć czy sześć — mogą mniej lub bardziej udatnie dawać namiastkę struktury rządu, opartego o jakąś większość parlamentarną i z tego punktu widzenia takie *decorum* może odgrywać nawet bardzo pożyteczną rolę.

Jeśli jednak uwzględnimy, że partie nasze posiadają znikomą ilość członków, że więc reprezentują nad wyraz nikły ułamek całości opinii publicznej, to stwierdzić można z wszelką słusznością, że *siłę rządu stanowi nie tyle ilość tych czy innych grup politycznych, rząd popierających, ale zupełnie co innego.*

Pan Mikołajczyk był głęboko szkodliwy mimo, że stały za nim cztery stronnictwa, pan Arciszewski jest szanowany, choć popierają go tylko trzy partie i byłby szanowany, choćby żadna grupa polityczna za nim nie stała, i to poprostu dlatego, że Mikołajczyk jest narzędziem obcej polityki, gdy Arciszewski reprezentuje polską myśl państwową. Jest dobrze, że p. Arciszewski posiada poparcie trzech stronnictw, byłoby jeszcze lepiej, gdyby wszystkie odłamy polskiej myśli politycznej oświadczyły się za reprezentowaną przezeń linię polityczną, — ale naprawdę — i o tym wie doskonale każdy Polak —o poziomie naszej polityki stanowi nie ta, czy inna chwilowa figura gry partyjnej, lecz wyłącznie poziom pracy rządowej. Przecież niemal te same partie „przyjmowały odpowiedzialność“ za rządy Sikorskiego i Mikołajczyka, co dziś za rząd Arciszewskiego, a nie trzeba udawadniać, jak olbrzymia między stanowiskami tych rządów zachodzi różnica.

Przecież gloryfikowały one płytką, lekkomyślną, efekciarską politykę zagraniczną Sikorskiego i wsteczną, pełną jadu i złości politykę wewnętrzną Kota i Banaczyka. Aprobowały nominacje na wysokie stanowiska typów szubrawych, a niekiedy wręcz kryminalnych i uznawały za jedno ze swoich głównych zadań walkę z tak zwaną sanacją na wszystkich odcinkach życia zarówno w kraju, jak i na uchodźtwie. Dziś te same stronnictwa wyrzekają się dotychczas praktykowanych metod, ogłaszają (nareszcie!) między partyjną „treuga Dei“ i łaskawie przyznają ludziom do trzech partii nie należącym prawo do pracy państwowej, oczywiście pod kontrolą i... odpowiedzialnością tychże trzech partii. I właśnie poniektóre z partii dziś Arciszewskiego popierających, delegowały do rozwiązanej ostatniej Rady Narodowej zespół, w którym znalazło się aż 14 zdrajców, znanych ze swej pro-jałtańskiej deklaracji.

*

Dowodzi to wszystko niezbicie, że linia podziału, tak ostro dziś się zarysowująca, przebiega nie wzdłuż programów partyjnych, nie według uchwał zarządów poszczególnych stron-

nictw, ale wzdłuż nierównie ważniejszych i prawdziwych linii, związanych z niezmiennikami życia państwowego i narodowego, bo z naszą racją stanu i walorami ludzkich charakterów. Podział na partie polityczne okazał się nierealny i pusty. Pękło stronnictwo ludowe (grupy Nawrockiego i Mikołajczyka), pękła partia pracy, nadwyrężone zostało stronnictwo narodowe, rozbite zostało stronnictwo demokratyczne (Filipowicz i Szerer), z trudem utrzymuje formalną jednolitość PPS.

Obowiązkiem każdego Polaka jest ścisłe przestrzeganie *tej nowej i prawdziwej linii podziału, w której przynależność do tej lub innej partii politycznej jest rzeczą małego znaczenia.* Rzeczą natomiast wielkiego znaczenia jest stanowisko w sprawach dla Polski zasadniczych: integralności terytorium, prawdziwej wolności, niezależności i suwerenności państwowej. Ta to linia i ona jedynie oddziela cały naród polski od kapitulantów i zdrajców.

Zapewne w łonie narodu polskiego znajdzie się miejsce i na takie lub inne grupy lub partie polityczne, które zapragną zachować swoją odrębną strukturę, opartą na wspólnej tradycji, klasowym interesie lub wspólnym światopoglądzie. W normalnych warunkach, w demokratycznym społeczeństwie i przy demokratycznej konstytucji, *a takie jest nasze społeczeństwo i taką jest nasza konstytucja* — mają one niezaprzeczalne prawo do życia i działalności. Dziś jednak inne sprawdziany są dla Polski zasadnicze. Jeśli kto chce pracować dziś pod znakiem szyldu partyjnego, to jest to jego dobrym prawem i nikt przeciw temu nie może podnieść żadnych obiekcji, ale ważnym z punktu widzenia państwowego interesu jest jedynie to, z której strony owej linii podziału wybiera swoje miejsce.

I dlatego nie pytamy dziś Polaka, czy i do jakiej grupy politycznej należy, ale baczymy jedynie na to, jaki jest jego stosunek do deklaracji T. Arciszewskiego z dnia 13 lutego r.b., bo deklaracja ta na dziś rozstrzyga o roli, jaką każdy w tym najbardziej decydującym momencie dziejów naszych odegrać pragnie, bo jej przyjęcie lub nieprzyjęcie stanowi o twórczym udziale w walce o naszą wolność lub — o najbardziej nikczemnej w historii narodu polskiego zdradzie.

Partie polityczne nie zdały dotychczas trudnego egzaminu dziejowego w obecnej wojnie. „Brały odpowiedzialność" za rządy tak fatalne, pracujące na tak niskim poziomie myśli państwowej przy użyciu tak niemoralnych metod, że w całej naszej historii trudno by wskazać na tak pożałowania godne ekipy rządzące. I to w najtrudniejszych warunkach, gdy ciężka rzeczywistość wymagała wysunięcia na czoło narodu ludzi najrozumniejszych, z najmocniejszymi charakterami o twardej i zdecydowanej postawie. Nie mamy prawa twierdzić, że ludzi takich wśród stronnictw nie było. Twierdzimy natomiast, że partie zastosowały selekcję in minus, że więc często najmniej godni, najsłabsi, najmniej rozumni wysunęli się na pierwsze miejsca.

Tajemnica tej osobliwej selekcji jest zapewne związana z postawą zasadniczą ludzi, którzy wysunęli się na czoło rządu. Skoro raz stanęli na stanowisku ulegania obcym: początkowo Francuzom, potem Anglikom, a wreszcie Moskalom, bojąc się narażenia obcym racjom stanu, gdy obowiązkiem ich było pilnowania polskiej racji stanu, — konsekwencje z tego wynikające musiały utrudnić ludziom niezależnym możność wywierania znaczniejszego wpływu. Zapewne dlatego ministrami byli Seyda i Komarnicki, a nie Bielecki i Folkierski, lub Stańczyk i Grossfeld, a nie Arciszewski, Pragier i Tomaszewski.

*

Bardzo się obawiamy, że w obecnym składzie rządu Arciszewskie grają siłą smutnych tradycji, w dalszym ciągu analogiczne czynniki, choć oso-

ba nowego szefa rządu tak korzystnie odbija od jego poprzedników. W składzie tego rządu spotykamy nazwiska nic społeczeństwu polskiemu niemówiące, których jedyną racją bytu wydaje się markowanie w gabinecie obecności partji, gabinet ten popierających. W czasach takich, jak obecne, wszystkie narody starają się zgrupować w komórkach kierujących polityką państwową swoich najtęższych ludzi w słusznym mniemaniu, że od ich kwalifikacji w pierwszym rzędzie uzależniony będzie poziom pracy państwowej. Przykład chociażbyAnglji daje świadectwo temu, jakiej wysokiej klasy był skład personalny rządu, do którego ściągnięci zostali co najlepsi mężowie stanu angielscy. Przykładem mogą służyć Stany Zjednoczone, gdzie prezydent Truman stara się przyciągnąć do rządu wszystkich bez względu na ich partyjną przynależność.

Czyż nie byłoby słuszne oprzeć strukturę rządu nie na desygnowanych przez partje ich członkach ale zwyczajnie i poprostu na walorach osobistych kandydatów na ministrów a więc na wzajemnym zaufaniu, na uczciwości, rozumie, osobistej i narodowej godności, doświadczeniu w pracy państwowej i niezłomności charakteru. Bo przecież te momenty, a nie przynależność do tego lub innego ugrupowania politycznego stanowią o rezultatach pracy człowieka.

A właściwą rolą partii politycznych, szczególnie tu na uchodźtwie, było by niedwuznaczne, stanowcze i otwarte poparcie takiego właśnie rządu i to nie w imię tej czy innej liczby posiadanych w nim foteli lub tek ministerialnych, a w imię najwyższego i najlepiej pojętego interesu Narodu i Państwa Polskiego, w imię jedynie polskiej racji stanu. Urabianie opinii publicznej w tym samym kierunku, prowądzenie jej, wyjaśnianie zasadzek i trudności, na jakie napotyka rząd w swej pracy państwowej, szczególnie na terenie polityki międzynarodowej, stanowiło by nadto najwdzięczniejsze pole dla partii i co najważniejsze przyczyniało by się do powstania w opinii światowej przekonania o prawdziwej jednolitości polskich poglądów, polskiego oporu, a nie tylko, jak to się często dziś dzieje, iż opinia światowa ocenia stanowisko T. Arciszewskiego, jako upór.

I jeśli przy tak postawionym zagadnieniu spojrzeć na skład rządu, to nietrudno zauważyć, że nie wykorzystano przy jego tworzeniu wielu nastręczających się personalnych możliwości, zarówno jak nie wyzyskano wszystkich odłamów polskiej myśli politycznej, które by mogły współpracować z rządem w ramach jego deklaracji z dnia 13 lutego r. b.

Dało by to zaś rządowi stworzonemu inną trochę drogą, najszersze oparcie w opinii publicznej polskiej, personalnie zaś wzmocniłoby go i podniosło tok i jakość jego pracy przez wciągnięcie do pracy zarówno w samym gabinecie, jak i podwładnych mu organach szeregu wybitnych ludzi, mogących powagą swoich nazwisk oraz wiedzą i doświadczeniem wnieść znaczny a dodatni wkład w pracę rządową. Na uchodźtwie znajduje się szereg ludzi, posiadających wielkie kwalifikacje i — powiedzmy to wyraźnie — niemniejsze prawo od innych do współudziału w kierownictwie sprawami Polski. Ludzi dotychczas systematycznie eliminowanych z wszelkich możliwości pracy państwowej z najbardziej niewątpliwą szkodą dla sprawy publicznej.

Czas najwyższy, aby skończyć z tym stanem rzeczy, w którym trzy lub cztery partie arogują sobie monopol na reprezentowanie Polski i obsadzanie stanowisk najbardziej fachowych i najbardziej odpowiedzialnych, mimo braku odpowiednio przygotowanych ludzi.

Czas skończyć z tym, choćby to miało być połączone z trudnością przezwyciężenia śmiertelnego lęku

przed t.zw. sanacją, cechującego w sposób śmieszny i nie poważny jeszcze dotychczas poniektóre nasze ugrupowania polityczne. Ani to czas, ani miejsce na polemiki w tych sprawach, związanych bezpośrednio z rolą i pracą historyczną Józefa Piłsudskiego. Wystarczy jednak skonstatować to, co dziś w Polsce i na uchodźtwie wie już nawet każde dziecko, że przez długi okres lat działalności Piłsudskiego przeskoczyć nie można, że tego okresu — jednego z najważniejszych w dziejach naszych — nikt z tych dziejów wykreślić nie potrafi, i że ci, którzy by chcieli wszystko i wszystkich z jego osobą i działalnością związanych wyeliminować poza zasięg polskiej rzeczywistości politycznej, dali by świadectwo swej nieumiejętności realnego myślenia i zupełnego braku orientacji w siłach, grających w polskim społeczeństwie.

Pragniemy się tutaj zastrzec najbardziej uczciwie i najbardziej stanowczo, że to, co piszemy nie jest w najmniejszym stopniu jakąś ofertą z naszej strony lub chęcią doprowadzenia do jakiegoś nowego partyjnego przetargu. Na rynku politycznym nie mamy nic do sprzedania, ani nic do odstąpienia wzamian za „coś" w rodzaju możliwości „rządzenia".

Reprezentujemy czystą myśl państwową, niezależną od tych czy innych chwilowych koniuktur politycznych, nie związaną z żadną przypadkową większością tej czy innej kilku — czy kilkunastoosobowej grupy partyjnej. Każdy u nas ma zupełną swobodę ruchów — pod warunkiem, że wszystkie swoje siły moralne i fizyczne poświęca teraz przede wszystkim pracy nad realizacją naszej ideologii, która zmierza do wywalczenia Polski w granicach słusznie powiększonych, Polski wolnej i prawdziwie niepodległej, Polski wzmocnionej a nie osłabionej, Polski *podmiotu a* nie *przedmiotu* w polityce międzynarodowej. Praca nad rozwojem tej ideologii, praca nad urabianiem w opinii polskiej zdrowych zasad myśli państwowej, *wystarcza nam* tymbardziej, że widzimy jej pozytywne rezultaty.

Od ponoszenia odpowiedzialności za losy Polski nie usuwamy się bynajmniej, bo od tego żaden Polak usunąć się nie może, nie ma prawa. Nie narzucamy jednak i nie mamy zamiaru narzucać premierowi Arciszewskiemu kandydatów na ministrów; nie wtrącamy się i nie będziemy się wtrącać w sprawę obsady personalnej urzędów, chyba, że będą one obsadzone przez ludzi jawnie nieudolnych, skorumpowanych lub wręcz zdrajców.

Pragniemy jedynie widzieć rząd ludzi mądrych, silnych i zdecydowanych, rząd opierający swoją pracę na odwiecznych nakazach polskiej racji stanu, rząd poparty przez całość opinii publicznej, rząd działający w ramach, wyznaczonych przez obowiązującą Konstytucję, rząd odwagi, honoru i godności, bo tylko taki rząd może nie tylko *stawić czoło, ale i sprostać tym największym może trudnościom, które nas jeszcze czekają.*

Na tej płaszczyźnie powitamy z radością głoszone dziś przez partie „treuga Dei".

I chcemy wierzyć, że obecnie jest ono do osiągnięcia.

Połączenie zaś w *blok zgody i współpracy* tego wszystkiego, co stanowi o opinii publicznej *wzmocni i rząd i samą opinię publiczną tak, że staną one murem, o który rozbije się i przemoc wroga i intrygi obcych agentur.*

Janusz Jędrzejewicz

Od Redakcji.

Redakcja pragnie zawiadomić czytelników, że dla uczciwej, jasnej i odważnej dyskusji w powyżej poruszonych sprawach — łamy Biuletynu są otwarte dla każdego bez względu na jego przekonania polityczne i przynależność partyjną.

ZASZCZYT CZY KARA

Grupa Mikołajczyka, Grabskiego, Banaczyka i tow. oburza się spowodu powołania do wojska niektórych zwolnionych obecnie urzędników, którzy dotychczas korzystali z reklamacji.

Budzą oczywiście wogóle zastrzeżenia tak liczne reklamacje z wojska w czasie wojny ludzi zdolnych do pełnienia służby wojskowej w okresie, gdy była aż nadto dostateczna ilość ludzi starszych wiekiem dla obsadzenia urzędów państwowych.

Można wprawdzie było mieć zdanie, że właśnie ci ludzie byli najbardziej nieodzownie potrzebni i nie do zastąpienia, jednakże nie należało raczej zapominać, że w czasie poprzedniej wojny w r. 1920 na ochotnika zgłaszali się do wojska działacze, zajmujący naprawdę bardzo wybitne stanowiska i mogący z pełnym uzasadnieniem przypuszczać, że są istotnie trudni do zastąpienia. Żeby tylko dla przykładu przypomnieć Stanisława Cara, będącego wówczas szefem kancelarii cywilnej Naczelnika Państwa, czy Stanisława Thugutta, pierwszego ministra spraw wewnętrznych Odrodzonej Polski, pełniącego funkcje posła na sejm i przewodniczącego stronnictwa „Wyzwolenie". Jednak ani te naprawdę odpowiedzialne stanowiska, ani wiek nie powstrzymały od pójścia na ochotnika do wojska Thugutta, Cara, Hołówki, Śmiarowskiego, Straszewicza, ani profesorów wyższych uczelni Handelsmana, Przychockiego, Alexandrowicza i wielu, wielu innych.

Piękniej by zatem było ze strony różnych działaczy z okresu obecnej wojny, wstąpić w ślady swych poprzedników z roku 1920, niż chronić się przez „reklamacje". Jak zresztą **lekkomyślnie** były one udzielane, świadczy choćby przykład z p. Jagodzińskim, któremu udzielono długoletniego urlopu jeszcze za czasów gen. Sikorskiego na studia języków... słowiańskich, a który, jak to dziś widzimy, tak „owocnie" — za pieniądze państwowe (stypendium), pod bokiem naszych władz państwowych — ten okres wykorzystał.

Ale reklamacje i zgłaszanie się na ochotnika do wojska to rzecz napięcia patriotycznego i stopnia poczucia obowiązku wobec kraju. Natomiast utrzymywanie nadal w mocy zwolnienia, względnie odroczenia służby wojskowej, mimo zakończenia cywilnej służby państwowej, a więc mimo ustania przyczyn reklamacji — byłoby już **prostym nadużyciem.**

Takiego jednak właśnie nadużycia domaga się od rządu premiera Arciszewskiego wspomniana grupa Mikołajczyk—Grabski, a gdy tego nie uzyskała, obrzuca rząd polski i osobiście **starego bojownika o niepodległość z dawnych lat i z tej wojny, Tomasza Arciszewskiego,** niskimi inwektywami za „zesłanie w sołdaty" ex-reklamowanych. (Vide artykuły w „Jutrze Polski").

Zapewne **po raz pierwszy w historii naszej** — służbę w wojsku polskim — uznaje jakaś grupa polityczna za „zesłanie w sołdaty", za „brankę" (sic!). Dotychczas Polacy przywykli uważać tę służbę za zaszczytny obowiązek każdego Polaka. Obowiązek, od którego spełnienia nie tylko się nie uchylali, ale nawet się oń upominali, uważając za osobistą krzywdę, gdy im spełnienia go odmawiano.

Wystarczy przypomnieć okres z lat 1939—1943, gdy wysocy urzędnicy państwowi (wojewodowie, wiceministrowie) na ochotnika zgłaszali się do służby wojskowej w stopniu szeregowca, gdy oficerowie sztabowi zgłaszali się do Legii Oficerskiej, albo nawet na szeregowców i gdy im tego z partyjnych względów odmawiano. Rozgoryczenie wywołane tą odmową było tak wielkie, a odmowy tak szeroko stosowane, że gen. Kazimierz Sosnkowski czuł się zmuszony aż publicznie — w dniu 20 marca 1943 r. na akademii ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego — przypomnieć, że Piłsudski „w czasie wojny prawa do służenia Polsce z bronią w ręku nikomu nie cofał i nie odmawiał, dostępu do szeregów armii nie zamykał nawet najzacieklejszym swoim przeciwnikom."

Jakaż przepaść moralna dzieli ludzi, którzy o prawo służenia Polsce z bronią w ręku jak o **zaszczyt** się dopominają, a odmowę za krzywdę sobie poczytują, od tych, którzy służbę w wojsku polskim za **„karę", za „akt zemsty politycznej"** uważają.

A przecież ludziom tym los taką korzystną sposobność daje. Ludziom, którzy w polityce kapitulacji tak daleko się posunęli, że aż swą miłość Ojczyzny i przywiązanie do ziemi polskiej w wątpliwość

poddali. Jakże łatwo i pięknie mogli dziś te wątpliwości — ku prawdziwej radości swych największych przeciwników politycznych — przekreślić, gdyby w chwili, gdy polityka ich zbankrutowała, ochotniczym zgłoszeniem się do służby wojskowej, wykazali, że od reszty Polaków dzieli ich tylko różnica poglądów politycznych, że gdy nadszedł czas, iż swych programów politycznych nie mogą realizować, pragną służbą wojskową równe z inymi umiłowanie sprawy ojczystej zadokumentować.

Był moment, gdy sprawa Wilna natrafiała w październiku 1920 r. na ogromne trudności u naszych aliantów zachodnich. Wówczas Piłsudski, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz oświadczył, że jeżeli celu swej polityki w swym charakterze Naczelnika Państwa zrealizować nie zdoła, złoży wszystkie swe oficjalne godności państwowe i wojskowe, by spełnić jako zwykły obywatel obowiązek wobec swej ziemi ojczystej.

Ta droga — służenia Polsce z bronią w ręku, gdy nie danym jest realizować swego programu politycznie — winna być wskazaniem i dla dzisiejszych czasów i dla dzisiejszych polityków.

Dr Józef Stankiewicz

POŁOŻENIE WOJENNE W ŚWIECIE

Zakończywszy wojnę z Niemcami, Anglo-Amerykanie stanęli wobec dwóch olbrzymich zagadnień światowych: sowiecko-europejskiego na Zachodzie i japońsko-chińskiego na Wschodzie.

Każde z nich wyraża się setkami milionów ludzi, niezmiernymi przestrzeniami, licznymi milionami groźnych wojsk i wielkimi możliwościami gospodarczymi.

Oba są bardzo trudne, aktualne i pilne, a od sposobu załatwienia każdego z nich zależeć będzie dalszy los mocarstw i dalszy rozwój świata.

Oba wiążą się ze sobą i — co gorsza — oba zaledwie zostały rozpoczęte, a każde wymaga niemało czasu i sił, aby je zakończyć pomyślnie.

Biorąc rzeczowo, stoją obecnie na kuli ziemskiej naprzeciw siebie dwa dominujące ugrupowania: sojusz anglo-amerykański, którego wojska opanowały pół Europy i atakują w Azji, oraz porozumienie japońsko-sowieckie, gdzie dwaj partnerzy, oparci o siebie tyłem, mają do czynienia z tymi właśnie Anglo-Amerykanami.

Obie te symbiozy polegają na głębokiej i istotnej zbieżności interesów wojennych i obie cierpią na szereg przeciwieństw. Różnica zaś jest ta, że sojusz anglo-amerykański demonstruje swe zbieżności a ukrywa sprzeczności, natomiast porozumienie japońsko-sowieckie pozwala zagranicy widzieć sprzeczności, a swą solidarność stara się zamaskować. Oraz ta, że między Anglo-Amerykanami działają dawne związki tradycyjno-kulturalne, których nie ma między Rosją i Japonią.

Gdybyśmy jednak zaczęli wyliczać objektywne sprzeczności, to między państwami o tak zazębiających się interesach gospodarczych w świecie, jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone A.P., możnaby ich naliczyć nawet więcej, niż między Japonią i Sowietami.

W każdym bądź razie w ramach porozumienia japońsko-sowieckiego plusy i minusy tak się dotychczas bilansowały, że Japonia nie przeszkadzała Sowietom zniszczyć otwarcie z nią sprzymierzone Niemcy, a w zamian Sowiety wolały i jeszcze wolą patrzeć jak ich sojusznicy anglo-sascy krwawią się na morzach, niż dopuścić, by sprzymierzone lotnictwo mogło bombardować Japonię z baz sowieckich.

Mieliśmy więc w świecie nie tak dawno dwa buńczuczne sojusze i jedno niewinne porozumienie: niemiecko-włosko-japoński „pakt trzech" i sojusz brytyjsko-amerykańsko-sowiecki, oraz porozumienie sowiecko-japońskie. Dotychczas okazało się, że niewinne „porozumienie" więcej wyrażało i mocniej wiązało partnerów, niż buńczuczny „pakt trzech". A teraz przychodzi okres następnej próby: kto dłużej wytrwa — drugi ambitny sojusz w swym orlim locie, czy skromne porozumienie w swym jaszczurczym biegu?

Nie trzeba przesądzać, jak się rzecz potoczy, bo wynik ujrzymy niezadługo, ale ciekawe, jak się przedstawiają szanse?

*

W chwili obecnej główne siły lądowe i powietrzne Anglo-Amerykan stoją z bronią u nogi w Europie i w Persji naprzeciw wojsk sowieckich, zebranych tam zapewne w wielkim komplecie. Natomiast w wojnie z Japonią zaangażowane były dotychczas głównie siły morskie Anglo-Amerykan, potężnie wsparte lotnictwem i uzupełnione taką ilością wojsk lądowych, jakiej wymaga zdobywanie wysp. Większe zgrupowanie wojsk lądowych zarysowało się jedynie w Burmie, a resztę zadań na kontynencie wykonywują masy chińskie.

Na morzu Japonia już jest pobita i nie podźwignie się, chociaż w obronie dostępu do swych wysp macierzystych — może być jeszcze nawet na morzu groźna. Ale żeby ją całkowicie zmusić do uległości, trzebaby ją równie mocno pobić na lądzie, co wymaga sił bez porównania większych, niż zdobywanie wysuniętych wysp Pacyfiku.

Trzebaby pokonać olbrzymie przestrzenie: morza, góry i rzeki oraz pobić wielkie armie.

Z rejonu Mandalay, gdzie toczyły się ostatnie bitwy w Burmie, do Tokio jest tak daleko, jak z Londynu do Omska. Z Czunkingu — stolicy Czang-Kai-Szeka, do Tokio wydaje się na mapie już stosunkowo blisko, a jednak jest dalej, niż z Berlina do Uralu. Z wysp Okinawa, gdzie niedawno usadowili sie Amerykanie, do Pekinu jest tyle, co z Warszawy do Tunisu lub Astrachania. Z Okinawy do Tokio — tyle co z Warszawy do Rostowa. I jedynie do najbliższej wielkiej wyspy japońskiej Kiszu już niedaleko, bo tylko tyle, co ze Szkocji do Norwegii. A wszędzie kraj mało znany i ludzie, na których biały człowiek polegać nie może.

Żeby „zaludnić" własnym wojskiem te przestrzenie, trzebaby przewieźć tam wielomilionowe armie.

A jeśli zaś nie wystąpi się tam radykalnie, to wojna może przeciągnąć się na lata, bo przeciwnik japoński jest tak liczny, jak Niemcy, a bodaj, że bardziej uparty. Nawet zdobycie kilku głównych wysp japońskich nie obezwładni jeszcze Japonii, gdyż główne jej siły lądowe znajdują się na kontynencie azjatyckim, gdzie mogłyby się długo bronić, oparte o miejscowy wielki przemysł.

Obecne położenie wojenne w Azji możnaby porównać do położenia, jakie było w Europie w chwili, gdy sojusznicy opanowywali Tunis. Z tą jednak różnicą, że siły Chin nie można porównywać z siłą, którą na lądzie europejskim stanowiły Sowiety, oraz że sojusznicy nie rozporządzają w Azji taką bazą lotniczą, jaką w Europie stanowiły Wyspy Brytyjskie.

*

Skąd wziąć masy potrzebne do złamania Japonii na lądzie?

Są trzy możliwości. — Jedna, — to wojska chińskie, jeśli je się poważnie dozbroi i potężnie wesprze lotnictwem oraz pancernymi wojskami sojuszników. Ale żeby to zrobić, trzeba sobie najpierw otworzyć szeroką drogę do Chin. Gdy zaś się Chińczyków dozbroi a Japonię obali, to siła Chin tak wzrośnie, że może stać się bardzo niewygodna.

Więc to rozwiązanie nie jest ani najszybsze, ani najskuteczniejsze, ani całkiem dogodne, ani całkiem pewne.

Druga możliwość — to wojska sowieckie. Ale Rosja nie bardzo się kwapi wycofywać wojska z Europy, dokąd zaledwie wtargnęła i gdzie ma obecnie więcej do zrobienia, niż w dalekiej Azji.

Główne cele ekspansji Rosji carskiej leżały w Europie i na południu. Główne cele rewolucyjnej ekspansji Rosji sowieckiej leżą tam, gdzie są główne podstawy kapitalizmu światowego, więc także w Europie, a następnie w Stanach Zjednoczonych A.P. Kraje środkowo-azjatyckie oraz Indie i Chiny — to tylko kierunki pomocnicze, a Japonia, zagrażające potęgom kapitalistycznym, była raczej sojusznikiem.

Z chwilą, gdy Rosja wtargnęła do Europy i Persji — rozsądek dyktuje, że powinna przede wszystkim na tym kierunku doprowadzić swe zadanie do końca. Jeśli zaś Anglo-Amerykanie rozbiją Japonię, to Mandżuria i tak nie im, lecz Sowietom przypadnie. Wykonanie tego planu nie będzie jednak iść prostolinijnie, a raczej leninowskim zygzakiem, co już można zauważyć.

Pozostaje jeszcze trzecia możliwość: pobić Japończyków na lądzie przede wszystkim własnymi siłami Anglo-Amerykan i innych państw kolonialnych, traktując siły chińskie jako poważną pomoc i nie licząc na Sowiety.

W tym celu Anglo-Amerykanie musieliby gros swych sił lądowych przewieźć z Europy do Azji, co jednak mogłoby

niebezpiecznie osłabić ich pozycję na tym kontynencie.

Wydaje się więc, że dopóki siły sowieckie pozostaną skoncentrowane na kierunku zachodnim, będą tam musiały pozostać także odpowiednio wielkie siły anglo-amerykańskie. I odwrotnie: jeśli tam pozostaną Anglo-Amerykanie, to Rosjanie także nie zechcą odjechać, chociaż ich obawy nie byłyby tak uzasadnione.

Powstaje więc sytuacja przymusowa.

Trudno przypuszczać, by Anglo-Amerykanom wystarczyło sił do wypełnienia jednocześnie dwóch tak wielkich zadań, jak Wschód i Zachód. Będą zapewne musieli wybrać, który z tych problemów załatwić teraz, a który odroczyć do następnego pokolenia?

Jeśli wybiorą Wschód, to zanim tam sprawę ukończą, mogą już utracić swe stanowisko w Europie, a wtedy nie wygrają nigdzie.

Jeśli zaś wybiorą Zachód, to zjednoczywszy swe siły z siłami Europy, będą w stanie następnie załatwić i Wschód.

Decyzja jest pilna, gdyż powinna zapaść, zanim rozpoczną się transporty sil głównych z Europy do Azji.

Pewne ułatwienie stanowiłaby tutaj prosta zasada wojskowa, że bezpieczniej jest kończyć zadanie tam, gdzie już znajdują się siły główne, niż szukać szczęścia po dalekim świecie.

A wojska stoją w Europie.

Ostateczny bieg spraw zależeć będzie od decyzyj nie koniecznie zgodnych: nie tylko od tego, co wybiorą anglosaskie demokracje, lecz także od tego, co zadecydują sowiecka dyktatura i perfidia japońska. Że zaś demokracje mają skłonność do złudzeń, więc ważkie czyny nastąpią raczej ze strony dwóch pozostałych partnerów.

St. W. S.

KREML SIĘ DEMASKUJE

W Biuletynie dziewiątym w artykule pod tyt. „Koniec?... Co dalej?" mówiliśmy: „Bezprawiu niemieckiemu położono kres". Równocześnie jednak pytaliśmy... „Czy jednak bezprawiu położono kres wogóle?... Czy wraz ze złamaniem niemieckiej praktyki narzucania „dyktatu" wolnym ludziom, narodom i państwom praktykowanie tego dyktatu zostało wogóle wyklęte? Czy totalizm, jako synonim niewoli, zwalczony został wogóle? Czy tylko tam, gdzie ubrany jest w szatę faszyzmu? A więc, krótko mówiąc, czy totalizm i idące za nim krok w krok bezprawie, nie stał się ze zbrodni przywilejem, a zwycięstwo sprzymierzonych załatwia tylko tyle, że ten przywilej narzucania innym swego totalizmu i swego bezprawia jedynie Niemcom został odjęty? Czy więc zrealizują się hasła, że prawo jest siłą, czy też, mimo pokonania Niemiec, zostaniemy przy zasadzie, że siła jest prawem? Że więc, o dziwo, owa straszliwa wojna toczyła się tylko o to, komu wolno, a komu nie wolno rządzić się tą ostatnią zasadą?".

Częściowa odpowiedź na to dręczące — nie tylko nas, a całą Europę i cały świat pytanie przyszła dość szybko.

Premier Churchill w swojej mowie ostatniej, jakże odbiegającej tenorem od wielu jego mów, wygłoszonych w ciągu ostatnich dwu lat, powiedział to, na co oczekujemy od dawna, o czym stale pisaliśmy:

„Nie wiele wygra się — brzmiały jego słowa — jeśliby został ukarany rezim hitlerowski, a jednocześnie przyszła by po nim jakaś inna totalitarna dyktatura policyjna... Mało pożytku będzie z ukarania hitlerowców za ich zbrodnie, jeśli nie ma zapanować prawo i sprawiedliwość, jeśli rządy totalitarne czy policyjne mają zająć miejsce najeźdźców niemieckich. Musimy się upewnić, czy sprawa, dla której walczyliśmy, znajdzie uznanie przy stole konferencji pokojowej zarówno w czynach, jak i w słowach. Czynić musimy wszystkie wysiłki, by organizacja światowa, która powstaje w San-Francisco, nie stała się tylko pustym słowem, by nie była tarczą dla silnego i pośmiewiskiem dla słabego."

Tak jest. Te właśnie zagadnienia dręczą narody. Te wszystkie, które naprawdę pragną pokoju i widzą jego trwałość w poszanowaniu wolności innych i ich prawdziwej niepodległości. Te właśnie nie rozwiązane i tak bardzo niejasno dotychczas stawiane zagadnienia, stanowią przecież o tym, że, mimo iż w Europie przyszedł czas, o którym można powiedzieć, nie ma wojny, nie rodzi się równocześnie nic, coby, świadczyć miało, iż

nastaje już choćby atmosfera pokojowa.

Możnaby powiedzieć, że premier Churchill w swojej mowie postawił diagnozę. Wskazał palcem na chorobę, która zabija wspomnianą przez nas atmosferę pokoju. Nie powiedział wprawdzie wyraźnie, skąd idzie zatruty dech tej choroby, który warzy każdy żywszy odruch radości ze zwycięstwa nad Niemcami, bo stwarza poważne powody do niepokoju, że „słowa wolność, demokracja i wyzwolenie mogą być oderwane od prawdziwego znaczenia tak, jak my je pojmujemy."

Nie trzeba jednak winowajcy nazywać po imieniu. Każdy człowiek, ba każde dziecko w Europie — i to nie wyłączając rozległych stepów Eurazji — doskonale wie o kogo chodzi, doskonale zdaje sobie sprawę, skąd idzie to zło, które potworny sześcioletni wysiłek wojny pragnie obrócić na nice.

Od momentu, nadto, kiedy winowajca sam przyznaje się do winy, nie trzeba świadków, którzy winy tej dowodzą. Conajwyżej mogą oni być pomocni do ustalenia jej rozmiarów.

Nie wiemy, jak do mowy Churchilla ustosunkowała się Japonia, nie wiemy jeszcze w jaki sposób podała i czy podała ją do wiadomości swojej opinii publicznej.

Wiemy natomiast, jak do tej mowy ustosunkował się **„sojusznik"** Anglii, a więc ten, który rzekomo włączył się do „jednolitego frontu narodów, stojących po stronie walki o demokratyczne swobody, po stronie wolności przeciwko niewoli i groźbie niewoli... (patrz mowę Stalina z dn. 3.7. 1941 i dalsze).

Oto „sojusznik" ten w chwili, gdy nadchodzi czas na realizację zasad, które przyświecały w walce z totalizmem, bezprawiem i groźbą niewoli, mowę premiera Churchilla cenzuruje i... wykreśla z niej wszystkie te ustępy, które odnoszą się do podstaw, na jakich ma być budowany przyszły pokój, które są wyraźnie skierowane przeciwko „totalizmom i reżimom policyjnym".

Uderzyć w stół — nożyce się odezwą.

Tym właśnie, że Kreml kazał najbardziej zasadnicze ustępy mowy Churchilla wykreślić, pominąć je milczeniem, tym właśnie, jak owe przysłowiowe nożyce, najbardziej głośno się odezwał. **I przemilczeniem tym raz wreszcie powiedział prawdę.**

Dotychczas bowiem tylko kłamał.

Kłamał tam, gdzie deklamował o swojej najwyższej pokojowości, a równocześnie najbardziej podstępnie pracował usilnie nad wywołaniem rzezi światowej. Bez wydatnej pomocy i przychylnej postawy Kremla nawet tak zdecydowany dyktator, jak Hitler, nie mógłby pójść do wojny i co za tym idzie, nie mógłby popełnić tych wszystkich zbrodni, na których ślady i skutki patrzy dziś cały świat w osłupiałym przerażeniu. Kłamał, gdy napadał na Polskę z tyłu, zdradziecko, stanowiąc najbardziej klasyczny wzór dla późniejszej napaści Mussoliniego na Francję. Kłamał, gdy pozbawiał wolności trzy naprawdę demokratyczne narody: Estów, Łotyszy i Litwinów. Kłamał, napadając na maleńką, bohaterską Finlandię. Napadnięty przez wspólnika wszystkich zbrodni, kłamał, deklamując o demokracji, wolności, idei wyzwalania. Kłamał zupełnie tak samo, jak przedtym, aby przypodobać się Hitlerowi, kłamstwami poniewierał oporem Wielkich Demokracji wobec napaści Hitlera, nazywając nadto Francję i Anglię napastnikami, a Hitlera tym, który najbardziej pragnie pokoju. Kłamał i kłamie, kiedy pragnie wpoić w opinię publiczną wrażenie, że Polska kiedykolwiek szła czy chciała iść z Niemcami. Sam zaś, jak wie cały świat pomagał Niemcom surowcami, żywnością i benzyną. Samoloty niemieckie bombardujące Londyn — latały na sowieckiej benzynie.

Można by tak wyliczać bez końca. Straszliwy jest ten rejestr kłamstw Związku Sowieckiego. Kłamał w Moskwie, kłamał w Teheranie i kłamał, jak to coraz bardziej wszyscy się przekonywują, — w Jałcie.

Kłamie, kiedy stwarzając kreatury w rodzaju Paleckisa, Tito, Bieruta i t. d. usiłuje wywołać w świecie przekonanie, że narody wczoraj wolne, dziś na wyprzódki śpieszą włożyć sobie na szyje obrożę sowieckiego totalizmu.

Kłamał, więc nie wpuszczał nikogo z bezstronnych świadków tej dobrowolności, tego entuzjazmu dla Stalina. Nie wpuszcza też tych świadków dalej — na tereny zajęte przez armię czerwoną. Boi się tych świadków, bo mogliby oni to i owo z „osiągnięć" sowieckich wywlec na światło dzienne. Boi się tego światła. Woli, jak złodziej operować w ciemnościach. W ciemnościach przyłożeniem nagana do skroni wymuszać „zgodę", któ-

rą potym propaganda sowiecka wywrzaskuje na cały świat.

Każdy bezstronny świadek, każdy promień światła napawa go strachem, że nagle świat dojrzy jego potworne oblicze, skażone na zawsze nienawiścią wszystkiego, co tchnie wolnością.

Kreml jest tchórzem białego dnia, kocha się w mroku .

Wszystko więc, co choćby trąci ową jasnością dnia, usiłuje zdusić w zarodku. Każdy przebłysk prawdy usiłuje zalać potokiem kłamstw swojej propagandy. Każde słowo ostrzeżenia, każde słowo krytyczne — chce zagłuszyć wrzaskiem kłamstwa i fałszu.

W warunkach tej właśnie mętnej powodzi kłamstwa zrodziło się przekonanie, że polityka i propaganda sowiecka są niezrozumiałe, że cele ZSRR otoczone są mrokiem tajemnicy. Są więc ciągle niepojęte. Nic fałszywszego nad takie mniemanie.

Polityka sowiecka jest stała i niezmienna i dąży do narzucenia światu swego sposobu myślenia i swego reżimu. Tak bowiem, jak pospolity złodziej czy zbrodniarz wie, ze chyba tylko wtedy uniknie kary, dopiero wtedy działać by mógł bezkarnie, gdyby zniknęły nagle z powierzchni ziemi wszystkie sądy i cały wymiar sprawiedliwości, — tak i Związek Sowiecki bezkarność swoich poczynań widzi tylko w obaleniu istniejącego dotychczas porządku świata — uznawanego bez wyjątku za wrogi ZSRR świat kapitalistyczny. Reszta to tylko taktyka. Tak bowiem jak złodziej, zbliżając się do miejsca zamierzonego przestępstwa i widząc, że miejsce jest niebezpiecznie dlań otoczone przez policję, zaczyna udawać swoim zachowaniem się, wyglądem, słowami i t.d., że bynajmniej nie znalazł się w tych okolicach w celu kradzieży, a ot, wyszedł na przechadzkę, tak i propaganda sowiecka, gdy jej to na rękę, gdy to innych ogłupia, a ją kamufluje — kłamie o ideałach. Milczy jednak o celach. I właśnie kluczem do pojecia polityki i propagandy sowieckiej jest zrozumienie tego faktu, że tam gdzie one się głośno wypowiadają, tam tchórzliwie i oszukańczo kłamią, tam zaś gdzie milczą — tam mówią prawdę.

„Największa i najprawdziwsza demokracja świata" — wykrzykuje o ZSRR bez przerwy propaganda sowiecka. Nigdy jednak nie mówi i nie mówiła o tym, że ZSRR walczy z totalizmem, jako przecież zaprzeczeniem demokracji. Walczy tylko z faszyzmem i innym każe się tylko domyślać, że to pewnie jedno i to samo. Nie przeszkadza się domyślać. Tymczasem to nie jest to samo. Faszyzm już dawno uznany został w Sowietach za galwanizatora obumierającego — zdaniem teoretyków sowieckich — kapitalizmu. Uderzenie w faszyzm, rozbicie go uważane jest w Sowietach za bardzo wydatne osłabienie kapitalizmu, a to jest wróg integralny. Ale totalizm? Totalizm w oderwaniu od barwy czarnej czy brązowej zwalczany być nie potrzebuje. Przeciwnie stwarza przecież warunki dla łatwiejszego przejęcia ustroju sowieckiego, — od którego się niczym nie różni, ba, z którego czerpał wzory, jako z najbardziej klasycznego totalizmu.

Tchórzliwe przemilczenie wobec swoich i wobec narodów podbitych — a rzekomo „wyzwolonych"-zagadnienia przyłączenia się do zasad, zwalczających totalizmy i policyjne ustroje, jest równocześnie przyznaniem się wobec świata, leżącego po za zasięgiem okupacji sowieckiej że wszystko, co dotychczas propaganda sowiecka głosiła, nie jest warte funta kłaków, gdyż totalizmów ZSRR zwalczać nie będzie.

Kłamiąc swoim, musiała moskiewska „Prawda" powiedzieć istotną prawdę o ZSRR, jego celach i zamiarach — obcym.

Tę nagłę „odwagę" powiedzenia prawdy trzeba koniecznie zanotować, bo z zza tej „odwagi prawdy" wygląda nagle istotne oblicze Związku Sowieckiego.

W tym też leży głęboka nauka, jak należy z Sowietami rozmawiać. Jaką taktykę należy stosować wobec ich taktyki. Trzeba wyraźnie przypierać do muru. Tchórzliwy Kreml, będzie musiał zdobywać się na „odwagę" samo-demaskowania się.

„Demokratyzm" — „tak jak my go pojmujemy", wolność, wyzwalanie i t. p. hasła ZSRR w tym zdemaskowaniu się Kremla odrazu prysły. Ci, co wierzyli w tę demokrację sowiecką, w ich intencje wyzwalania narodów z jarzma niewoli totalnej, w ich szczerą walkę z „groźbą niewoli" — mają dziś nielada niespodziankę.

A to tylko początek. Dowiemy się o wiele więcej. Tylko do muru... do muru.

Ważne jest, że początek jest zrobiony.

I to jest bodaj największa wartość mowy premiera Churchilla.

Olgierd Zręba

Wydawca: Związek Pracy dla Państwa Jerozolima P.O.B. 397

Drukarnia „Gesher Press", Jerusalem